TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

PIERWSZA KLĘSKA LETNIOŚCI

Kacper Kita · 2 listopada 2020



Decyzja Trybunału Konstytucyjnego o delegalizacji aborcji eugenicznej, a tym samym odejściu od „kompromisu aborcyjnego", wydaje się być jedną z najistotniejszych, jakie podjął po 2015 obóz PiS. Tym bardziej, że doszło do niej po wieloletnim zamiataniu sprawy pod dywan. Wagę tej fundamentalnej zmiany pokazują zamieszki uliczne, które mimo pandemii błyskawicznie rozlały się po wielu polskich miastach. Nadchodzi czas oddzielania ziarna od plew.

Kilka miesięcy temu, świeżo po minimalnym, ale jednoznacznym zwycięstwie Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich, napisałem tekst „Letniość, obojętność, Zarembizm, czyli jak przegrać cywilizację". Wydaje mi się, że nie stracił na aktualności i trafnie nakreśliłem w nim zasadniczy dylemat stojący obecnie tak przed rządzącymi, jak przed wszystkimi w Polsce środowiskami politycznymi samookreślającymi się jako prawica. Chodzi o stosunek do rewolucji społecznej, przez jej zwolenników często nazywanej „postępem" obyczajowym. W świecie zachodnim ostatnie kilka dekad przyniosło zdecydowaną dominację głównego nurtu centroprawicy, która całkowicie zaakceptowała destrukcję tradycyjnych struktur społecznych, uznając kolejne „przemiany obyczajowe" takie jak rewolucja seksualna, aborcja na życzenie, „małżeństwa" jednopłciowe wraz z prawem do adopcji dzieci za nieuchronne i nieodwracalne. Można je jedynie „nieco odsunąć w czasie". Podobny liberalny determinizm przyjęto zazwyczaj w sprawach takich jak masowa imigracja spoza Europy. Ta letnia, obojętna zachodnia centroprawica często sprawuje władzę albo uczestniczy w jej sprawowaniu, ale nie ma między tym a rządami centrolewicy żadnej istotnej różnicy. Każda kolejna postępowa „przemiana" jest przedstawiana jako nowy „rozsądny kompromis", przy którym zawsze to prawica musi ustąpić. Nieliberalna, tradycyjna prawica oczywiście istnieje, ale

w większości krajów zachodnich jest na politycznym marginesie, zazwyczaj bez szans choćby na współudział we władzy.

Sytuacja w Polsce jest o tyle specyficzna, że „postępowa" agenda spod znaku LGBT zwyczajnie u nas w głównym politycznym nurcie nie występowała, a głębokich przemian obyczajowych nie przeprowadziły przez swoje 8 lat rządów ani SLD, ani PO – poza chwilową legalizacją aborcji „ze względów społecznych" z 1996, utrąconą przez Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem prof. Zolla. Warto zaznaczyć, że gdyby któryś z kolejnych rządów chciał ten wyrok ominąć, to mógłby – wystarczyło nie legalizować aborcji, tylko dokonać jej depenalizacji, tak jak zrobiono to w Niemczech, w których dziś aborcja teoretycznie nadal jest przestępstwem. Co istotne, również główny nurt polskiej prawicy, przez ostatnie bez mała dwie dekady zdominowany przez PiS, określał siebie i swój program w oparciu o inne kwestie – stosunek do PRL, III RP, Okrągłego Stołu, Rosji, USA, UE, NATO etc. Dopiero po 2015 sprawujący władzę PiS zaczął być coraz bardziej atakowany w pierwszej kolejności za niewprowadzenie w życie liberalnej agendy obyczajowej.

Jednocześnie nałożyło się na siebie kilka innych procesów. Po pierwsze, „postępowe" przemiany zostały przeprowadzone w kolejnych krajach Zachodu i Polska rzeczywiście jest dziś jedynym krajem w Europie, w którym nie ma ani „małżeństw" jednopłciowych, ani aborcji na życzenie. Tym samym na nas, jako „ostatnim nieposłusznym", skupiła się również uwaga wielu zachodnich liberalnych mediów, polityków czy organizacji pozarządowych. Po drugie, wraz z tym, jak tę agendę jednoznacznie przyjęła jako swoją centrowa i lewicowa opozycja na czele z PO, PiS również potrzebował się do niej coraz częściej odnosić. Po części wymuszało to też na nim samo rządzenie. Po trzecie, stale rosła presja wewnętrzna i zewnętrzna na obóz władzy ze strony rozmaitych środowisk. Katolicko nastawieni politycy PiS, tacy jak występujący niedawno przed TK poseł Bartłomiej Wróblewski, politycy opozycji (długo pozaparlamentarnej lub rozbitej, presja w naturalny sposób zwiększyła się wraz z wejściem do Sejmu Konfederacji, której „narodowa" część często atakowała PiS za miękkość na tym polu), konserwatywni i katoliccy publicyści, prężnie rozwijające się organizacje takie jak Instytut Ordo Iuris czy aktywiści pro-life – wszyscy sukcesywnie wywierali presję na rządzących.

Po czwarte, o czym sporo pisałem we wspomnianym wyżej tekście o letniości, „tradycyjna", typowo „PiSowska" agenda zaczęła się powoli wypalać, a władza, jak każda, pomału zużywać. Dorastają kolejne roczniki ludzi o szeroko pojętych prawicowych sympatiach, dla których spory o Okrągły Stół czy stan wojenny należą do tej samej kategorii, co debaty o przewrocie majowym – pewnie, można sobie czasem ciekawie podyskutować, ale mojego życia to nijak nie dotyczy i nie jest to dla mnie istotny punkt odniesienia. Po piąte, konfliktowy sposób sprawowania władzy przez PiS zniechęcał do niego kolejne grupy społeczne, takie jak nauczyciele czy lekarze. W binarnym wyborze „za lub przeciw PiS", jakim była druga tura wyborów prezydenckich, zupełnie realna stała się wygrana kandydata opozycji. Kierownictwo PiS uznało więc, że najlepszą szansę Andrzejowi Dudzie daje podsycenie „wojny kulturowej" – chodziło przede wszystkim o stosunek do agendy LGBT. Ta taktyka pozwoliła mu rzeczywiście odnieść zwycięstwo, choć koniec końców było ono minimalne.

Wszystkie te zjawiska coraz ostrzej stawiały i stawiają nadal problem tożsamości PiSu. Mówiąc najprościej – na ile obecna partia rządząca jest i chce być „letnią" centroprawicą à la polonaise, a na ile chce jednoznacznie sprzeciwić się destrukcji tradycyjnych więzi społecznych, na czele z instytucją rodziny? Kolejnym wymiarem tego napięcia stały się kolejne emancypacyjne ruchy Zbigniewa Ziobry, który od pew-

nego czasu stara się odróżnić swoją partię od PiSu właśnie jednoznacznym stawianiem kwestii światopoglądowych. Podczas ostatniego sejmowego głosowania nad ustawą delegalizującą aborcję eugeniczną poparła ją cała Solidarna Polska, później minister sprawiedliwości wzywał także do wypowiedzenia konwencji stambulskiej. Jeszcze w październiku 2016, wśród 32 posłów klubu PiS głosujących mimo „czarnych protestów" przeciw odrzuceniu projektu zakazującego aborcji nie znaleźlibyśmy ministra Ziobry ani jego najbliższych współpracowników. W ruchach Ziobry nietrudno doszukać się przygotowywania gruntu pod przyszłe starcie z Mateuszem Morawieckim, idealnie nadającym się na przywódcę „umiarkowanej, rozsądnej, europejskiej" części PiSu w świecie po Kaczyńskim, który prędzej czy później zaistnieje.

Przez pierwsze pięć lat rządów tenże Jarosław Kaczyński starał się nie odpowiadać na postawione przeze mnie wyżej pytanie, jednocześnie wyraźnie odcinając się od opozycji liberalnej i lewicowej oraz dystansując od różnej maści zwolenników zaostrzenia kursu. Politycznie ta kalkulacja mogłaby mieć sens. Rację ma prof. Rafał Chwedoruk, który komentując dla „Dziennika Gazety Prawnej" wynik drugiej tury wyborów prezydenckich stwierdził: „W wymiarze kulturowym podział społeczeństwa jest inny, niż wierzą w to publicyści. Nie ma Polski liberalnej i Polski konserwatywnej, ale mamy niewielkie mniejszości: liberalną oraz konserwatywną. A pomiędzy nimi jest większość, która jest bardziej przeciw którejś z tych mniejszości niż za czymś. I ta większość nie chce zmiany. Nie chce ani katolickiej kontrrewolucji, ani gwałtownej laicyzacji". Gdyby PiS był w stanie zagospodarować tę większość, mógłby liczyć na długie i wygodne rządzenie Polską.

Jest to jednak mało prawdopodobne z trzech powodów. Po pierwsze, te kulturowe podziały dalece nie są jedynym czynnikiem decydującym o wyborach politycznych Polaków. Od 2005 Jarosław Kaczyński pozostaje podstawowym punktem odniesienia dla polskiej sceny politycznej i w tym czasie zdobył sobie zarówno silną, zwartą grupę bardzo oddanych zwolenników, jak i co najmniej równie liczną rzeszę zajadłych wrogów. Większość jednych i drugich ma trwale ukształtowany stosunek do PiSu, często zupełnie niezależny od ich poglądów na sprawy obyczajowe. Znów warto przypomnieć, że te ostatnie w centrum polskiej debaty publicznej pojawiły się dopiero w kilku ostatnich latach. Wielu członków nakreślonej przez Chwedoruka, niechętnej radykalnym zmianom w którąkolwiek stronę większości społeczeństwa po prostu nigdy nie poprze Kaczyńskiego, z najrozmaitszych powodów.

> Po drugie, Polska nie funkcjonuje w oderwaniu od realiów międzynarodowych. Nacisk na sekularyzację i tożsamą z nią liberalizację obyczajową przyszedł do nas z zewnątrz, a odruchowy sprzeciw znacznej części polskiego społeczeństwa też nie pojawił się wskutek decyzji któregokolwiek z polityków prawicy. Presja liberalnych zachodnich mediów, polityków i wielkiego biznesu czy ośrodków takich jak ambasady USA i innych „postępowych" krajów nie zniknie w przewidywalnej perspektywie. Polscy politycy chcąc nie chcąc będą się musieli jakoś do niej ustosunkowywać.

Wreszcie po trzecie, rewolucji społecznej nie da się zatrzymać poprzez zachowywanie status quo. Taka była zasadnicza teza mojego lipcowego tekstu o letniości, w którym sporo miejsca poświęciłem centroprawicy brytyjskiej i francuskiej. Najlepszą analogią dla możliwej ewolucji PiSu po odejściu przywódcy-założyciela formacji wydają mi się losy obozu generała de Gaulle'a. Najkrócej mówiąc, ani autorytet

wodza i jego narodowo-patriotyczna retoryka, ani stworzenie silnych i sprawnych instytucji państwa (do czego PiSowi daleko), ani przemyślana i asertywna polityka zagraniczna (jak wyżej) nie powstrzymały procesów gnilnych wobec zaakceptowania aksjologii „neutralności światopoglądowej państwa" i poprzestania na obronie status quo przed rewolucją. Sam Generał nie szedł na klasyczne demoliberalne „kompromisy", ale jego następcy nie mieli już z tym żadnych problemów. Do tego tematu wrócę w przygotowywanym przeze mnie tekście na 50. rocznicę śmierci de Gaulle'a, która minie już 9 listopada i w której okolicach z moimi refleksjami będą się mogli zapoznać czytelnicy „Nowego Ładu".

Rewolucji społecznej nie da się zatrzymać poprzez zachowywanie status quo przede wszystkim dlatego, że samych rewolucjonistów nie jest w stanie usatysfakcjonować i zaspokoić żaden „kompromis". Dążą oni do destrukcji zastanej rzeczywistości, którą odbierają jako fundamentalnie niesprawiedliwą i wobec tego niezasługującą na przetrwanie. Wszelkie ustępstwa jedynie utwierdzają ich w wierze o tym, że „historia jest po ich stronie" i prędzej czy później nadejdzie ich tryumf. Każdy „kompromis" powoduje, że zachowują się jak drapieżnik, który poczuł krew potencjalnej ofiary.

> Bierność, „letniość" i próba uprawiania polityki w oderwaniu od „groźnych", bo „kontrowersyjnych" kwestii „światopoglądowych" dają absolutną pewność totalnej klęski w dłuższej perspektywie. Oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że wchodzenie w konflikt z rewolucjonistami da jakiekolwiek, mniej lub bardziej trwałe zwycięstwo. Stawianie im czoła jest jednak nie tylko moralnym obowiązkiem, ale przede wszystkim jedyną racjonalną decyzją wobec oczywistych mechanizmów konsekwentnej radykalizacji sił rewolucyjnych wraz ze spełnianiem kolejnych ich postulatów, które mogliśmy zaobserwować setki razy w Polsce i wielu innych krajach.

Tę destrukcję tradycyjnych struktur społecznych umożliwia wyżej wspomniany zasadniczy dla demokracji liberalnej paradygmat – „albo liberalizacja obyczajowa, albo zachowanie status quo". Zarówno rzeczywiście rewolucyjne zmiany jak i np. kolejne etapy integracji w ramach UE są przedstawiane jako kolejne etapy nieuchronnego postępu rodzaju ludzkiego. Mają być zawsze akceptowane według tego samego, banalnie prostego schematu – elity uznają, że „społeczeństwo jest już gotowe", a później „rozpoczynają debatę", która oczywiście nie może się zakończyć innym wynikiem, jak zgodą na kolejny wytwór nieomylnego, oświeconego Rozumu Ludzkiego.

Pierwsze 5 lat rządów PiS nie zrywało z tym paradygmatem. Obóz rządzący od początku dąży do podporządkowania jednemu ośrodkowi politycznemu całości władzy w państwie, odchodząc w ten sposób od charakterystycznego „bezpiecznika" w postaci funkcjonalnej arystokracji demokracji liberalnej (znakomite określenie Dariusza Karłowicza) – ograniczenia pola manewru rządzących przez niewybieralne, samoreplikujące się elity polityczno-sędziowsko-biznesowo-medialno-celebryckie. To rzeczywiście upodabnia nieco PiS do bonapartystowsko (w sensie Napoleona III) -gaullistowskiego myślenia o państwie – lud ceduje na rządzących, najlepiej przywódcę, mandat do sprawowania możliwie nieograniczonej władzy, i tylko przed owym ludem rządzący są odpowiedzialni. Oczywiście takie analogie zawsze są niepełne i trzeba z nimi uważać. Wyrok TK stanowi tu więc pewną cezurę – oto prezes Kaczyński zdecydował się na odejście od demokracji liberalnej na kolejnym polu, jasno stwierdzając, że prawo obyczajowe może stać się bardziej restrykcyjne. Co więcej, użył do tego ulubionego narzędzia demoliberałów, czyli sądu konsty-

tucyjnego. Narzucił państwu nowe prawo aborcyjne nie przejmując się tym, czy posiada wysokie poparcie społeczne, podobnie jak robili to dziesiątki razy w różnych państwach postępowcy, czy w sprawie dzieciobójstwa czy w sprawie „małżeństw" jednopłciowych.

Równie oczywistym co to, że decyzję o delegalizacji aborcji eugenicznej podjął Jarosław Kaczyński, jest to, że ten ostatni nie stał się i nie stanie katolickim kontrrewolucjonistą. Jest jednak ewidentne, że między wyborami prezydenckimi a chwilą obecną PiS zdecydował się na, mówiąc językiem Lecha Wałęsy, wzmocnienie prawej nogi. Ta decyzja została podjęta jeszcze we wrześniu, a więc przed drugą falą koronawirusa. Nie ma co przypisywać Kaczyńskiemu, jak to wielu czasem robi, nieprawdopodobnego makiawelizmu i mistycznych zdolności skutecznego planowania stu ruchów do przodu. Wydaje się, że na decyzję miały wpływ dwa zasadnicze czynniki. Po pierwsze, presja wewnętrzna i zewnętrzna, chęć uwiarygodnienia się przed katolicką częścią swojego elektoratu oraz „załatwienia sprawy" w najdalszym możliwym momencie od kolejnych wyborów. Po drugie, świadomość rosnącej potrzeby pewnego zakotwiczenia, związania obozu władzy z konkretną tożsamością ideową wobec stopniowego rozmywania się dotychczasowej.

O tym drugim aspekcie jasno mówią nam kolejne deklaracje Kaczyńskiego, w ostatnim czasie kilkukrotnie jednoznacznie stwierdzającego chociażby, że w Polsce mamy do wyboru moralność katolicką albo nihilizm. To zresztą oczywista prawda – w dalece nie każdym narodzie występuje tak silny związek między religią a historią i kulturą, ale w Polsce jest jednoznaczny. Sekularyzacja w Polsce jest tożsama nie tylko z pogrążaniem się w nihilizmie, ale również z wynaradawianiem się i szeroko pojętym wykorzenianiem. W tym tonie było również utrzymane wtorkowe wystąpienie Kaczyńskiego w reakcji na zamieszki, burdy i przerażające ataki na kościoły.

Oczywiście zbyt silne związanie Kościoła z jakąkolwiek partią czy rządem jest dla niego niebezpieczne. Kościół powinien być politycznie niezależny i zachowywać zdrowy dystans. Zupełnie niedawno widzieliśmy wyjątkowo przykry przykład na to, do czego mogą prowadzić układy hierarchów z politykami, gdy Sejm utrącił kandydaturę ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego na członka komisji zajmującej się badaniem zorganizowanego molestowania seksualnego nieletnich.

> Jednak trucizną gorszą od nawet otwartego wspierania jednej z opcji politycznych jest przyjmowanie przez katolickich hierarchów, duchownych i wiernych haseł takich jak „neutralność światopoglądowa" Kościoła czy myślenia kategoriami „kompromisów" z wściekłymi rewolucjonistami, dokonującymi barbarzyńskiej agresji na miejsca święte. Kościół „neutralny światopoglądowo" zdradzałby Chrystusa. Niektóre światopoglądy prowadzą do zbawienia duszy, inne do jej wiecznego potępienia. Nie ma na to mocniejszego przykładu niż właśnie sprawa zabijania dzieci nienarodzonych.

Niezależnie od motywów decyzji Kaczyńskiego, wyrok TK jest świetną wiadomością dla Polski. Politycy mogą podejmować słuszne decyzje z niesłusznych pobudek, a co dokładnie dzieje się w duszy danego człowieka i co nim kieruje wie tylko Pan Bóg. On też będzie pewnego dnia rozliczał każdego z nas z naszych żyć. Uważam też, że jest czymś jednoznacznie pozytywnym, że przywódca państwa polskiego de-

klaruje, że w Polsce moralność publiczna może być jedynie katolicka albo nihilistyczna. Bardzo wielu komentatorów próbuje teraz wzywać ludzi Kościoła do odcinania się od tego „radykalnego" wyroku w imię tego, by Kościół nie był nadmiernie utożsamiany z PiS. Jednak algorytm postępowania w takich sytuacjach powinien być bardzo prosty. Jeśli politycy działają w zgodzie z moralnością katolicką, to nie tylko można, ale nawet należy ich chwalić. Jeśli ci sami politycy działają wbrew moralności katolickiej, to nie tylko można, ale nawet należy ich krytykować. Komentatorzy podnoszący takie apele to zazwyczaj właśnie przedstawiciele „letniej", kompromisowej centroprawicy. Jak zwykle – nikt nie wyrządza tyle szkody, co oni. Jeśli jakiś katolik ma problem ze związkami Kościoła z PiS (czy dowolną inną partią), bo jego proboszcz wprost namawia do głosowania na X albo wchodzi w niezdrowe układy z lokalnymi działaczami Y, to jego krytyka jest słuszna i potrzebna. Jeśli jednak jakiś „katolik" ma problem z tym, że Kościół może być wiązany z... wprowadzeniem przez PiS zakazu mordowania dzieci nienarodzonych, to nie rozumie podstaw zdrowej, tradycyjnej, nieskażonej liberalnymi przekłamaniami katolickiej moralności.

Ci ludzie nie rozumieją też widocznie, że wsparcie dla konkretnego działania danego człowieka lub polityka nie oznacza wsparcia dla wszystkich innych jego działań, czy tym bardziej całości jego aktywności. Jeśli dla kogoś „problemem" jest stanowisko Kościoła uznające aborcję za morderstwo, a dziecko nienarodzone za żywego człowieka, to jest już de facto poza Kościołem. Nie mamy dziś pojęcia, jakie będą kolejne działania rządu PiSu na polu obyczajowym. Jeśli będą godne pochwały, będzie należało je chwalić. Oczywiście trzeba mieć świadomość, że Jarosław Kaczyński, jak już wspomniałem, katolickim kontrrewolucjonistą nie został, a mimo wygłaszanych dziś pięknych słów będzie pewnie chciał stosunkowo szybko pragmatycznie zrównoważyć ten wyskok w prawo. I wtedy będzie trzeba ponownie wystąpić w roli krytycznego recenzenta. Na tym polega zdrowe wywieranie presji na ten rząd i każdy inny. Presji, która, jak widać, ma sens.

„Letnim" oraz wyznawcom wiary w mistyczne wahadło pozornie argumentów dostarczają trwające zamieszki. Czy jednak ktokolwiek naprawdę wierzy, że ludzie dziś gotowi atakować kościoły, dokonywać bluźnierstw czy organizować się w stosujące fizyczną przemoc bojówki przed czwartkiem byli potulnymi, sympatycznymi obywatelami? Wyrok TK nic nie zmienił, co najwyżej przybliżył nas do epoki ostrej konfrontacji, do której niestety zmierzamy jako państwo i społeczeństwo od dobrych kilku lat. Niestety, bo mało co tak osłabia naród, jak konflikt wewnętrzny. Idziemy w stronę regularnych ulicznych starć oraz konfliktów trwale dzielących rodziny i przyjaciół. Wszelkie więzi należy ratować na tyle, na ile to możliwe, a na przedstawicieli drugiej strony konfliktu patrzeć jak na zagubionych bliźnich, których chcielibyśmy nawrócić. Nie znosi to jednak w najmniejszym stopniu spoczywającego na każdym z nas obowiązku jednoznacznego przeciwstawienia się zwyrodnieniu, chaosowi i barbarii. Niestety nie ma powodu, by liczyć, że te konflikty wygasną w przewidywalnej przyszłości. Przede wszystkim ze względu na niezwykle silną presję zewnętrzną oraz ogromne środki, jakimi dysponują siły dążące do przeprowadzenia w Polsce obyczajowej i społecznej rewolucji.

Powiem więcej – te zamieszki mogą być długofalowo korzystne dla Kościoła i szanującej jego rolę w Polsce jako bezalternatywnego depozytariusza moralności publicznej prawicy. Nastąpi bowiem oddzielenie ziarna od plew. Nie ma ostrzejszego punktu sporu między moralnością chrześcijańską a demoliberalną niż właśnie sprawa zabijania dzieci nienarodzonych. Nie da się pogodzić jednego z drugim. Jeśli ktoś popiera dzieciobójstwo, a nawet aktywnie je promuje, to z definicji nie może być dobrym katolikiem. Nie jest też „dobrym człowiekiem", niezależnie od tego, ile piesków adoptował i ile pieniędzy przeznaczył na

pomoc potrzebującym. Dotykamy tu sprawy absolutnie fundamentalnej – próby sprowadzenia Kościoła do roli jednej z wielu doczesnych organizacji charytatywnych, oczywiście „neutralnej światopoglądowo". Jest to tożsame z destrukcją Kościoła w jego istocie, którą było, jest i będzie zadanie zbawiania dusz ludzkich. To zadanie nie jest wypełniane, jeśli Kościół nie stawia tymże ludziom konkretnych wymagań moralnych, tylko próbuje angażować się w urządzanie wraz ze swoimi wrogami „nowych, bardziej sprawiedliwych" stosunków społecznych – choć Królestwo Boże nie jest z tego świata.

Przy okazji protestów w mediach społecznościowych możemy przeczytać tysiące deklaracji w rodzaju „jestem katolikiem/katoliczką, ale popieram strajk/prawo kobiety do wyboru – i co teraz?". No nic teraz, równie dobrze ktoś mógłby napisać „jestem katolikiem, ale popieram prawo złodziei do kradzieży". Człowiekowi do tego stopnia nieuporządkowanemu wewnętrznie można jedynie wyrazić współczucie czy napisać, że się pomodlimy za jego nawrócenie. Spotkać możemy również deklaracje typu „bojkotujmy Kościół do czasu, gdy ten się ogarnie" – im w ogóle należy głośno przyklasnąć. Tak, jeśli ktoś odrzuca katolicką moralność, to lepiej, żeby nie chodził do kościoła. Jest to uczciwsze, a nie żyjąc w kłamstwie prędzej też powróci do Boga. Gorący, zdecydowany ateista jest Go zazwyczaj bliższy niż letni, oszukujący sam siebie i innych „katolik". Oczywiście wszyscy jesteśmy grzesznikami i Kościół jest wspólnotą ludzi bardzo niedoskonałych. Jest jednak fundamentalna różnica między człowiekiem, który upada, ale umie nazwać uczynione przez siebie zło po imieniu, a człowiekiem, który pysznie twierdzi, że to nie on błądzi, ale to cały Kościół powinien dostosować się do niego. Trwająca zawierucha wymaga od nas ostrych wyborów i jednoznacznego opowiedzenia się. To szansa dla Kościoła jako całości i dla każdego z nas, bo oto każdy z nas staje przed możliwością oczyszczenia się ze słabości z chwilą jasnego stanięcia po stronie Dobra.

Wyrok TK wywołał wreszcie wściekłość i rozgoryczenie tych sympatyzujących z PiS komentatorów, którzy chcieli widzieć w nim zaporę przed prawicowym radykalizmem. Szczególnie zabawnie było patrzeć na w gruncie rzeczy wybitnie miałkich ideowo ludzi przypisujących sobie dogłębną znajomość myśli i doktryny Jarosława Kaczyńskiego, nadających jemu i jego działaniom mistyczne rozmiary i silnie przekonanych, że umiłowany Naczelnik nigdy nie ugnie się przed postulatami „narodowo-katolickich radykałów", tak jak oni nigdy by tego nie zrobili. Popełnili oni ten sam błąd, co wierzący, że Kaczyński po objęciu władzy stanie na czele krucjaty – prezes PiS jest po prostu politykiem elastycznym i pragmatycznym. To zresztą kolejny powód do zadowolenia z jego decyzji – skoro pragmatyk uznał, że opłaca mu się gest wobec środowisk postulujących kurs ostrzejszy światopoglądowo, to znaczy, że stanowią one liczącą się siłę polityczną. Na pewno podobną niechęcią zareagowało wielu polityków PiS, którzy albo nie mają zasadniczego problemu z dryfowaniem w kierunku drogi „letniej", „europejskiej" centroprawicy, albo wierzą w mit wahadła i możliwość komfortowego trzymania się status quo. Przynajmniej niektórzy z nich będą dążyć do ponownego dorzucenia trzeciego wyjątku do ustawy antyaborcyjnej. Oczywiście w ramach nowego „rozsądnego kompromisu". O ile ten z 1993 długo mógł się rzeczywiście wydawać politycznie rozsądną opcją – tym bardziej, gdy przypomnimy sobie, jakie PRLowskie prawo zastąpił – o tyle każdy „nowy" byłby już całkowitym wywieszeniem białej flagi przed rewolucją. Zapamiętujmy, kto zgłasza takie postulaty, i nie liczmy na to, że ci ludzie kiedykolwiek będą gotowi do uczestnictwa w walce z wrogami Polski, Kościoła czy naszej cywilizacji.

Co ciekawe, mimo początkowej fali entuzjazmu, również na katolickiej czy narodowej prawicy stosunkowo szybko pojawiły się głosy defetyzmu i przerażenia skalą zamieszek. Muszę powiedzieć, że zupełnie tego nie rozumiem. Oczywiście, burdy, uliczne starcia czy ataki na kościoły to widok bardzo przykry.

Wszystko to jednak było zupełnie przewidywalne i mieści się w granicach bezradnego, wściekłego miotania się zrozpaczonych przegrywających. Po pięciu latach nacisków udało się wymusić na rządzących wprowadzenie praktycznie pełnej ochrony życia nienarodzonego, a wielu wcześniej za taką zmianą gardłujących i słusznie potępiających decydentów za bierność obecnie snuje ponure wizje, zamiast się cieszyć i czerpać z ewidentnego sukcesu motywację do dalszych działań. Wydaje się, że to objaw nadal silnej trucizny zasadniczego zalęknienia i braku wiary w możliwość odnoszenia zwycięstw nad potężnym walcem postępu. To jednak właśnie ten lęk powoduje, że często przegrywamy. Jeśli nie umiemy go w sobie przepracować, to jesteśmy później winni zaniedbań prowadzących wprost do pogarszania się sytuacji Polski i świata.

Na koniec warto przypomnieć, że tak, za degenerację cywilizacji zachodniej odpowiadają przede wszystkim „letni" i „umiarkowani", zawsze proponujący kolejne „rozsądne kompromisy". Wszyscy ci „prawicowcy, ale" i „katolicy, ale" są opętani dodawaniem „to zależy" do każdego zdania, które wypowiadają, zgodnie z propozycją diabła z „Pierwiastka z minus jeden" Mariana Hemara. Nie można „trochę" bronić fundamentalnych zasad takich jak przykazanie „Nie zabijaj", tak jak nie można „trochę" bronić swojego Kościoła, swojego narodu, swojej rodziny.

Obecny w tym tekście optymizm nie oznacza lekceważenia bardzo poważnych wyzwań, jakie mogą stanowić wybuchłe zamieszki. Na szersze refleksje przyjdzie czas, gdy zobaczymy, jak długo się te niepokoje utrzymają. Zasadniczo kluczowe wydaje się, by działać dwutorowo – jednocześnie żądać zdecydowanych działań od instytucji państwa oraz szukać sposobów organizowania się obok niego, by być niezależnym od polityków i gotowym na ewentualność objęcia kiedyś władzy przez rewolucjonistów lub realizujących elementy ich programu liberałów. Nawet jeśli same zamieszki wygasną – choćby i ze względu na pandemię – to trzeba mieć świadomość, że rewolucjoniści w Polsce byli przed wyrokiem TK, są po nim i będą nadal obecni w przewidywalnej przyszłości, bezwzględnie dążąc do destrukcji kolejnych tradycyjnych struktur społecznych i kolejnych elementów cywilizacji zachodniej.

Niezależnie od okoliczności, w których przychodzi żyć człowiekowi, każdy dzień jego życia powinien być bitwą. Bitwą ze złem oraz ze słabościami naszych wspólnot i naszymi jako jednostek. Ze swoich działań każdy z nas będzie kiedyś rozliczony. Ich celem powinien zaś być tytułowy dla naszego portalu „Nowy ład" – wewnętrzny i zewnętrzny. Wraz z czwartkowym wyrokiem TK jesteśmy jeden duży krok bliżej niego.

fot. instagram/strajk_kobiet

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/pierwsza-kleska-letniosci/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć